Miłość po szkocku. Australijskie początki. Nowy Rok 1968.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Fremantle, ulica, lata 60., fot. pinterest.com

Anna Habryn

Rozdział 3

Mary stała przy relingu z Mandy na rękach i patrzyła w dół. Gdzieś tam, na nabrzeżu, w sporym tłumie oczekujących, byli jej bliscy. Nie mogła odróżnić żadnej twarzy. Poranne słońce było zbyt jaskrawe. Statek stał już od wczorajszego wieczora przycumowany do nabrzeża, ale dopiero teraz opuszczono trapy i na pokładach zaczęła się bieganina.

Pasażerowie już od kilku dni przejawiali pewne zdenerwowanie i rozdrażnienie. W miarę zbliżania się do Fremantle zaczynały w nich kiełkować jakieś wątpliwości, bo słyszało się zapewnienia, że po odpracowaniu dwóch lat kontraktu na pewno wrócą do domu, do Anglii czy Szkocji.

A teraz cały tłum stał i czekał, przestępując z nogi na nogę. Głośniki jeszcze raz

przypominały, jakie dokumenty należy przygotować, w jakim kierunku się udać. Grantowie stali z boku, nie spieszyli się.

Bill krzyknął:

– Jest La-la! – i zaczął machać ręką. Mary wytężyła wzrok. Tak, chyba matka, w białym kapeluszu. Obok drugi, podobny – Sandra! Jest i Jan. Poczuła się szczęśliwa. Tam, na tej ziemi, czeka na nich rodzina, najbliżsi, dom. Wreszcie są znowu razem. (…)

Pierwszym zaskoczeniem było zimno. Kurczyli się w swoich wiosennych płaszczykach. Mary myślała: *dobrze, że zapakowałam wszystkie swetry*.

Drugie zaskoczenie: dom matki i Jana był ciasny. Miał dwie duże sypialnie i mały pokój urządzony od tyłu, na werandzie wychodzącej na ogród. Był na pewno za mały dla dziewięciu osób. Po uroczystym obiedzie Sandra wyniosła się spać do koleżanki i matka była z tego powodu wyraźnie niezadowolona.

– Nie przejmuj się – powiedziała siostra do Mary – nie musi ci być przykro. Bardzo się cieszę, że jesteście. A spanie u koleżanki to dodatkowa atrakcja – i roześmiała się szczerze. (…)

Rano obudziły ją odgłosy ostrożnej krzątaniny. Wciągnęła na siebie szlafrok i kuląc się z zimna powędrowała do kuchni. Jan szykował sobie kanapki do pracy. Za oknem było zaledwie szaro. Uśmiechnął się do niej:

– Jak się spało? Woda gotowana, zrób sobie śniadanie. Ja już muszę iść, bo mi ucieknie autobus. (…)

Nasypała sobie kawy, nalała wody do kubka i po wyjściu Jana siadła przy stole. W kuchni było dosyć ciepło. Nie chciała nikogo budzić o tej szarej godzinie. (…)

Dzieci pojawiły się w kuchni dość wcześnie, głodne i gotowe ruszać na zwiedzanie okolicy. Mary poszperała w szafkach i w lodówc*e*, zrobiła im śniadanie, ostrzegła, żeby nie zapuszczali się za daleko:

– Te ulice są wszystkie do siebie podobne. Uważajcie, żeby nie zabłądzić. Pamiętacie

nasz adres?

Pamiętali i cała trójka jej synów ruszyła z hałasem na podbój Australii. (…)

Słońce świeciło pięknie i zrobiło się już zupełnie ciepło. W ogrodzie stał mały blaszany domek z okienkiem w drzwiach, pod wielkim drzewem. Westchnęła: wanny nie było. Z drugiej połowy tylnej werandy zrobiono pralnię, był tam też prysznic, a wodę grzało się w metalowym cylindrycznym zbiorniku, pod którym palono drewnem. Trzeba napalić. Było oczywiste, że Mary przejmuje obowiązki gospodyni: będzie palić, gotować, sprzątać. Jak w dzieciństwie?

Charlie pojawił się drugiego dnia, bo był zapracowany. Z czułością powitał siostrę i szwagra, obiecał, że w następną sobotę zabierze ich do siebie. Lily nie może się doczekać, żeby ich znowu zobaczyć, ale dzieci są trochę chore… Na razie Charlie przyjechał zabrać ich na zwiedzanie miasta. Przyjechał swoim nowym dużym Chryslerem i chłopcy byli zafascynowani maszyną – i wujkiem, którego prawie nie pamiętali. (…)

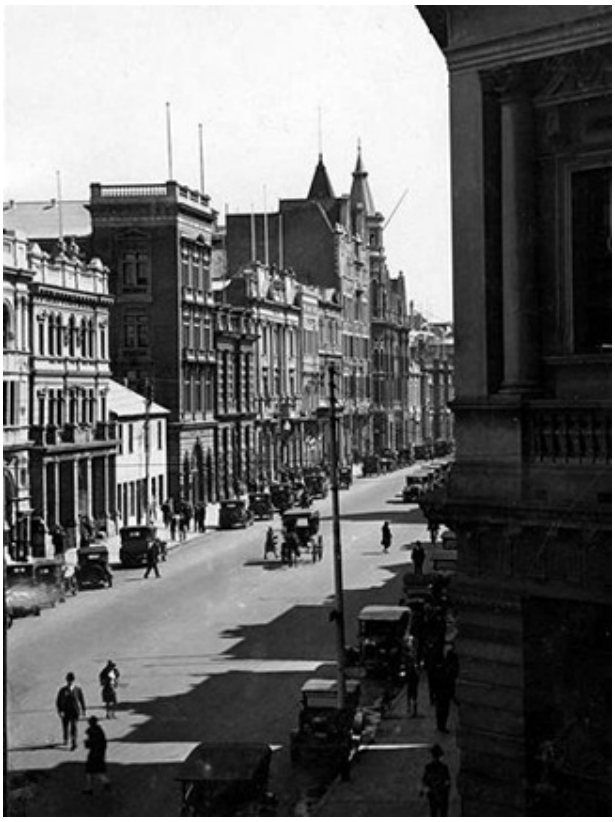

Perth, ulica St. George.

Samo miasto nie zrobiło na nich wielkiego wrażenia. Przejechali główną ulicą *St. George`s Tce* czyli „Świętego Jerzego”, między kilkupiętrowymi biurowcami. Niektóre pamiętały czasy królowej Wiktorii i zachowały swój angielski styl. Za niewysokim murem, w pięknym ogrodzie krył się – widoczny lepiej od strony rzeki – stylowy, choć niewielki pałac gubernatora. Obok niego, w parku, który wziął swą nazwę *High Court Gardens* od surowych czerwonych budynków Sądu Najwyższego, budował się nowoczesny, betonowy budynek Rady Miejskiej. Obok były banki, hotele, wielka drukarnia i redakcja miejscowej gazety, wszystko na jednej ulicy. U jej końca, na wzgórzu stał podłużny, szary, dwu- czy trzypiętrowy budynek parlamentu, a od niego w stronę rzeki rozciągał się *Kings Park*, z aleją wielkich eukaliptusów, z których każdy posadzony został na pamiątkę żołnierza poległego na wojnie. Była to długa aleja, a każde drzewo miało tabliczkę z imieniem bohatera. To zrobiło na wszystkich wrażenie, choć nie przywoływało smutku cmentarzy.

Widok z urwistego brzegu na szeroko rozlane wody, gdzie łączyły się dwie rzeki, Swan i Canning, szerokim korytem uchodzące wspólnie do oceanu, gdzieś za horyzontem, we Fremantle, ten widok zaparł im dech w piersiach. Na błękitnej wodzie bieliły się żagle jachtów. Siedli na trawie i patrzyli, zachwyceni. Dusza Mary śpiewała: oto Australia! Szeroki, wielki, wspaniały kraj. Trzeba tylko znaleźć w nim swoje miejsce.

Najprędzej udało się to chłopcom. Poszli do szkoły razem, oczywiście do innych klas, ale w tym samym kompleksie barakowych budynków ze wspólnym boiskiem, gdzie spotykali się na każdej przerwie. Na lunch wracali do domu: mieli godzinę przerwy, a szkoła była na sąsiedniej ulicy. Połykali szybko, co Mary przygotowała – i zdawali sprawozdanie ze szkolnych wydarzeń.

Pierwsze tygodnie były dla nich ciężkie. Poszli do szkoły w swoich ubraniach przywiezionych ze Szkocji. Natychmiast znaleźli się pod obstrzałem szyderstw. Wyśmiewano ich buty, krzyczano za nimi: „*pommy*!” – każdy przybysz z Anglii był przezywany „*pommy*”. Dopiero, kiedy we trzech stawili czoła prześmiewcom i rozbili kilka nosów, zaakceptowano ich wyjaśnienia, że oni nie są „*pommies*”, oni są ze Szkocji. (…)

Po kilku dniach chłopcy wyrzucili swoje „angielskie” buty i zaczęli nosić „japonki”

jak inni koledzy z klasy. Krótkie popelinowe spodenki i trykotowe koszulki zastąpiły te – tak porządnie wyglądające, zdaniem Mary – blezery, noszone przez uczniów w Auchtertool. Jej synowie zaczęli domagać się kanapek ze słoną, brązową mazią zwaną *Vegemite* albo z masłem orzechowym, a po kilku tygodniach zaczęli przejmować specyficzny sposób australijskiego artykułowania samogłosek, tę wymowę bezskutecznie tępioną przez nauczycieli. A także – wyśmiewaną pogardliwie przez La-la. Babka i ojciec byli tu jednego zdania: australijski akcent jest znakiem australijskiej głupoty. Alan, najmłodszy z synów Mary i ulubieniec babki od wczesnego dzieciństwa, był skłonny bezkrytycznie akceptować jej sądy, ale dwaj starsi,Willie i Brian, ignorowali krytykę, co drażniło babkę i ojca jeszcze bardziej. Mary zaś z niepokojem obserwowała rodzący się pierwszy konflikt rodzinny. (…) Kiedy po trzech tygodniach Grantowie wynajęli niedaleko domek dla siebie – było już za późno.

Szukanie domu do wynajęcia było koszmarem. (…) Zaczynało się od żądania referencji. Najlepiej – listu od pracodawcy. Gordon dopiero szukał pracy.

Po kilku tygodniach stukania do drzwi, znaleźli coś do wynajęcia w pobliżu. Właściciel był Włochem. Obejrzał ich krytycznie i po konferencji z żoną zgodził się wynająć im dom za 20 dolarów na tydzień. (…)

Dom był potwornie brzydki. „Styl śródziemnomorski” – zaznaczył dumnie właściciel otwierając im drzwi. Była to kwadratowa bryła z płaskim dachem, otynkowana na różowo. Wewnątrz były dwie sypialnie, jadalnia, salonik, łazienka, toaleta, kuchnia i *sleep-out*, czyli pokój na tylnej werandzie, bardzo w australijskim guście. Wszystko było wymalowane jaskrawymi kolorami: żółte ściany, zielone szafki w kuchni, ubikacja fioletowo – bordowa!

Z tyłu domu rozpościerał się „ogród”: pełna kurzu pustynia, ogrodzona na wysokość człowieka szarymi płotami z falistych płyt azbestowych. Na środku stało samotne drzewo, bliżej domu „karuzela” do suszenia bielizny, typowy australijski wynalazek, z wyglądu przypominający rozpięty parasol bez pokrycia.

W samą porę przypomniało jej się, jak ktoś kiedyś chwalił jej poczynania jako młodej gospodyni: *Ty potrafiłabyś stworzyć dom nawet w namiocie*. Ha, trzeba będzie się postarać. (…)

Przeprowadzili się następnego dnia. Podstawowe meble kupili w sklepie z używanymi gratami, które w Australii elegancko nazywa się „antykami”. Mary starała się przymknąć oczy na ich brzydotę, ale wiedziała, że nie da się ich pokochać. Ich dom w Szkocji był wytworny i luksusowy w porównaniu z tym, co próbowała stworzyć swojej rodzinie w nowym kraju, w tym wymarzonym kraju przepysznych ogrodów z basenami do pływania, w tym kraju z broszur reklamowych drukowanych na błyszczącym papierze. Nie było miejsca na marzenia, trzeba było starać się przeżyć. (…)

Szybko poznali swoich sąsiadów. Z lewej strony mieszkali Holendrzy, którzy tuż po wojnie przyjechali do Australii prosto z obozu jenieckiego w Niemczech. Byli stosunkowo dobrze sytuowani i mieli dwóch prawie dorosłych synów, kulturalnych, miłych chłopców, dobrze wychowanych i ciężko pracujących. Mary patrzyła czasem na nich i miała nadzieję, że jej synowie za kilka lat też będą tacy.

Naprzeciwko mieszkali Grecy. Czasem uśmiechali się do Mary i zagadywali do niej, ale nie mogła zrozumieć ani słowa. Uśmiechała się więc też i machała przyjaźnie ręką. Ich dom przypominał wiejski domek z ogródkiem pełnym kwiatów. Wszystko tam było czyściutkie i wypielęgnowane. Mary zauważyła, że nigdy nie odzywali się do swoich sąsiadów, tych właśnie Włochów, którzy byli właścicielami domu wynajmowanego przez Grantów.

Australijscy Aborygeni

Dwa numery dalej, w azbestowym domu na palach (to były niewysokie słupki, na werandę wchodziło się po dwóch schodkach) mieszkała rodzina Aborygenów. Dom należał do państwa, był nieogrodzony od ulicy i straszliwie zapuszczony.

Pewnego ciepłego poranka Mary usłyszała krzyki. W życiu nie słyszała dotąd tak grubiańskich przekleństw. Wyjrzała na ulicę: przed domem Aborygenów rozgrywała się rodzinna scena. Starsze dzieci z przerażeniem biegały dookoła, dwójka najmłodszych siedziała porzucona w kurzu, a ich rodzice, sczepieni ze sobą i młócący rękami, zażarcie się bili.

Przerażona, Mary pobiegła do Holendrów, ale nie było ich w domu. Zadzwoniła więc na policję, ale po drugiej stronie odpowiedziano jej, że takie awantury odbywają się co tydzień i żeby się nie wtrącała. Nie, policja nie będzie interweniować.

Wkrótce przekonała się, że istotnie, takie bójki stanowiły część stylu życia jej

aborygeńskich sąsiadów. Później przekonała się, że na porządku dziennym było wśród nich bicie żon, pijaństwo zarówno wśród mężczyzn jak i kobiet, zastraszenie i zaniedbywanie dzieci. Taka była Australia. Trzeba się było jej uczyć, trzeba się było przyzwyczajać: do dziwnie budowanych domów i do dziwnie mówiących ludzi o szokujących obyczajach. (…)

Okolice Perth w okresie Bożego Narodzenia, fot.likeyouau.blogspot.com

Dziwne były te upalne święta Bożego Narodzenia. Mary nie była specjalnie religijna, jej matka również. Z tradycji rodzinnej – byli wszyscy protestantami, ale Jan był katolikiem i nic to nikomu nie wadziło.

Dla jej dzieci w Australii Boże Narodzenie to były przede wszystkim długie letnie wakacje. W te wakacje dzieci dużo przebywały u dziadków, bo i gdzie indziej? Chłopcy lgnęli do Jana, bo Jan miał też urlop i całe dnie majsterkował w swojej szopce w ogrodzie. Ręce Jana były nadzwyczajnie zręczne. Mary raz zajrzała do tej szopy i zdumiała się ilością nagromadzonych tam narzędzi. Wszystko poukładane w idealnym porządku, tylko na środku kupa świeżych obrzynków i wiórów. Jan robił jakiś mebel.

Nad miastem wisiał upał. Mary już wiedziała, że nie ma co oczekiwać popołudniowej oczyszczającej burzy, najwyżej lekka bryza od morza przyniesie nieco ulgi nad wieczorem. W nocy nagrzane mury domów i ziemia będą wypromieniowywać ciepło.

W takie noce najlepiej było spać na zewnątrz, jeśli człowiek nie bał się moskitów. A w dzień trzeba było kryć się w najgłębszym cieniu werandy, albo – jak robiła to jej matka – zasłaniać okna i siedzieć w półmroku. Gotowanie wewnątrz domu nie wchodziło w rachubę. Pewnie dlatego ludzie wymyślili barbecue. Stało ono na podwórzu, a jego konstrukcja była prosta: metalowa beczka, przecięta na pół wzdłuż pionowej osi, umocowana poziomo na nodze z metalowej rury, przykryta blachą grubą na pół palca. Pod tą blachą Jan rozpalił ogień. Dym szczypał trochę w oczy, toteż reszta rodziny trzymała się na dystans. Wędzenie się przy zasmolonej i zardzewiałej beczce było w Australii ponoć honorową funkcją pana domu. Jan wszedł w tę rolę z samozaparciem. (…)

Słońce chyliło się ku zachodniej stronie nieba. Blacha na barbecue była już prawie nagrzana, kiedy pojawił się Charlie i odsunął Jana od paleniska:

– Ja mam więcej doświadczenia – powiedział. Sięgnął po butelkę oliwy, chlusnął nią na blachę. Jan ustąpił i poszedł do ogrodu podlewać grządki. Ogród był spory i podzielony na dwie części: warzywnik od tyłu, a z przodu, koło Barbecue, trawnik i kwiaty. To było królestwo Jana. Z dumą pokazał im swoje gospodarstwo już pierwszego dnia. Jan zawsze lubił uprawiać ziemię. Mary pamiętała, że w Kircaldy mieli piękny ogród: truskawki, ziemniaki, kapustę… I króliki. Często ulubiony królik Mary lądował w garnku… Takie jest życie.

Ten ogród wyglądał inaczej: ziemia była mało urodzajna. Ale i tu były truskawki, sporo krzaków pomidorów, pietruszka, pory i kilka ziół używanych do przypraw: majeranek, mięta, małe drzewko laurowe. Była cała grządka melonów i dyń i kilka drzewek cytrusowych: piękne cytryny i pomarańcze jak błyszczące kule.

Barbecue w wykonaniu Charliego było niezłe. Steki nieco przypalone, ale prawie surowe w środku, plasterki cebuli, pieczarki, upieczone w całości krewetki i grube plastry dyni i cukini. Do tego masa kiełbasek, które dzieciaki pochłaniały z zapałem. Popijano wszystko piwem, bo Charlie stwierdził, że to prawdziwie po australijsku: tylko piwo. W dużych ilościach.

Dziwnie zmienił się ten jej „mały braciszek”. Mary patrzyła na tego dorosłego mężczyznę i zastanawiała się, czy go jeszcze zna. Myśląc o Charliem zawsze miała przed oczyma tego malca, który był jej utrapieniem w dzieciństwie. Kiedy Charlie

dorósł? Jakoś to przegapiła. Oddaliła się od nich wszystkich, kiedy wyszła za mąż, urodziła swoje dzieci i miała swoje kłopoty. Sandra co prawda bywała jej gościem na wsi, ale Charlie miał już swoje życie. Służył w wojsku, potem się ożenił z Lily, rudą Irlandką, która urodziła mu synka. Klepali biedę, kiedy po wyjściu z wojska nie mógł znaleźć pracy. Miał dobry zawód, był spawaczem, ale stocznia w Glasgow nie potrzebowała nowych ludzi do pracy. Nie gardził żadnym zajęciem, ale zdarzało się, że Mary oferowała mu niewielkie sumy zaoszczędzone z budżetu domowego, żeby mógł na czas opłacić czynsz za mieszkanie. Kiedy zdecydował się jechać do Australii, Mary po raz pierwszy spojrzała na niego z szacunkiem. Więcej, patrzyła wtedy na niego z podziwem. A teraz byli w Australii wszyscy.

Jej bratowa, Lily, siedziała na uboczu, Mary przysiadła się do niej. Lily wyglądała kwitnąco w urodzie swoich trzydziestu lat, kusząco zaokrąglona, pięknie opalona, wypoczęta i zrelaksowana. *Widać po niej, że im się świetnie powodzi* – pomyślała Mary. I powiedziała to głośno. Lily się roześmiała.

– Nie najgorzej, owszem. Charlie znowu zmienił pracę. Za każdym razem dostaje wyższe stanowisko i lepszą pensję, sprytnie to robi.

– A ty nie wybierasz się do pracy?

Lily spojrzała na nią zaskoczona.

– Wiesz, że tu uważa się, że kobieta nie powinna pracować. Nasza Eileen jest jeszcze mała. Zresztą, Charlie zarabia na nas wszystkich. Ale na początku było okropnie – dodała pośpiesznie, jakby chciała zatrzeć niepożądane wrażenie czy też pocieszyć Mary. – Każdy nowo przyjezdny przeżywa to samo. (…)

Część miasta na północ od rzeki była uważana za lepszą, niż część południowa.

Och, mieć własny dom – pomyślała Mary. Marzyła o tym, że pewnego dnia będą mieli swój własny dom, niechby nawet z państwowego przydziału. Wszystko będzie lepsze niż to różowe okropieństwo, w którym mieszkają. I nie będzie trzeba znosić tego wścibskiego właściciela, który zawsze chce przeprowadzać inspekcję domu akurat wtedy, gdy Gordon jest w pracy.

Sztuka Aborygenów.

Popołudnie zmieniało się w wieczór. Dzieci rozpakowały prezenty, dorośli siedzieli syci i zadowoleni, kiedy La-la zaczęła znowu wspominać dawne, dobre czasy. Sandra kręciła się niespokojnie, wyraźnie rada by się wymknąć. Chłopcy słuchali grzecznie. Opowieść wyraźnie miała mieć jakąś wartość pedagogiczną.

La-la zaczęła wspominać światowe życie, jakie pędziła przed śmiercią swego pierwszego męża. Mieszkali w pięknym domu – to prawda, Mary pamiętała coś niecoś – mieli trzy sypialnie i jadalnię z wielkimi na całą ścianę oknami, był też salonik, duża łazienka z osobną toaletą, wielki przedpokój, wygodna kuchnia… A w salonie zbierało się czasem dobre towarzystwo – *bo wasz dziadek był biznesmenem i obracał się w wysokich sferach. Miał wielu znajomych artystów. Spotykaliśmy bardzo sławnych i ważnych ludzi. Podczas Wielkiej Wystawy Imperialnej w Glasgow w 1938 roku wasz dziadek gościł w swoim pawilonie pocztowym Króla i Królową. Gdzieś mam nawet zdjęcie…*

Najgorsze zawsze było zakończenie takich wspomnień:

– Boże, na co mi przyszło?

Mary spojrzała na Jana. Siedział wpatrzony w coś przed sobą, przygarbiony i milczący. Nie powie słowa, słyszał to już tyle razy. Nie będzie się bronił. Nie powie, że Sheila była przecież na dnie, gdy ją spotkał. A może nie wie o tym? Ale dlaczego dzieci mają wierzyć w te kłamstwa? Pogardzać Janem? Za co? Postawiła ze stukiem filiżankę na spodku i bardzo wyważonym, spokojnym i uprzejmym tonem zapytała:

– A czy pamiętasz mamo, jak żyliśmy podczas wojny?

Matka wzruszyła ramionami. Mary parła dalej:

– Jak paliliśmy w piecu starymi płytami gramofonowymi, bo węgla nie było? Jak trzeba było sprzedać meble, pianino, nasze zabawki? Pamiętasz, co jedliśmy? Toffi robiłaś nam tylko na urodziny i na Gwiazdkę?

Matka zirytowała się.

– Po co wspominać te rzeczy? Potem było lepiej.

– Tak, jak pojawił się Jan.

La-la zwróciła się do dzieci, ignorując córkę:

– Jan był marynarzem…

– Dajcie spokój – wtrącił się Jan.

– I nie umiał po angielsku. Nie miał pojęcia o świecie. Zresztą – nadal nie ma.

Odezwała się w tym momencie Sandra, zmęczonym głosem:

– Mamo, nie mów takich rzeczy. To nieprawda.

– A znacie tę historię, jak pojechał do Londynu? Nie znał mnie jeszcze wtedy.

– To niesmaczne – mruknęła Sandra. Ale Sheili nic już nie mogło powstrzymać.

– Więc, jego okręt stał w Southampton. Jan pojechał pociągiem do Londynu, spotkał

tam jakąś miłą blondynkę i spędził u niej trzy dni. Odprowadziła go na Waterloo Station, ale pomylił się i wsiadł w pociąg, który jechał do Walii, a nie do Southampton. Spóźnił się na okręt. Oczywiście stanął przed sądem, bo to była wojna. Tłumaczył się, że wsiadł w zły pociąg, kapitan go pyta, czy pamięta nazwy stacji, przez które jechał. A Jan na to: *Widziałem tylko „Gentlemen”, „Gentlemen”*, bo tylko to przez okno widział, jak pociąg stawał na dworcach! – i Sheila roześmiała się złośliwie, a Jan dokończył:

– I siedziałem w areszcie, i zdegradowali mnie, i straciłem 10 szylingów z pensji, a to było wtedy dużo pieniędzy.

Wstał z fotela i wyszedł do ogrodu. W ciszy Mary wyszła za nim. Stał wśród swoich grządek. Trzymał w ręku dużą dynię. Złocistą. Przyglądał się jej. Mary podeszła, położyła głowę na jego ramieniu. Podał jej dynię:

– Chcesz, weź sobie. Piękna, prawda?

– Janie – zapytała Mary cicho. – Na tym okręcie, jak cię zamknęli w areszcie, to o czym myślałeś?

Chwilę milczał, potem zebrał się w sobie i powiedział:

– O Polsce. I o mojej matce.

***

Dla Szkotów Nowy Rok jest ważniejszy niż Boże Narodzenie. W Glasgow gospodynie myją, skrobią i pucują wszystko, co się da. Na spotkanie Nowego Roku należy być czystym. To przekonanie zostało Mary na zawsze.

W Szkocji, kiedy przyszedł wieczór sylwestrowy, ustawiano na stole whisky i kieliszki razem z ciastami: kruchym i owocowym. Aż do północy nie otwierało się żadnej butelki i nie piło się żadnego alkoholu, a po północy każdy gość był mile widziany i podejmowany.

Ten ich pierwszy Nowy Rok w Australii miał wyglądać inaczej: pod zasypanym obcymi gwiazdami niebem, w chłodzie przynoszącym ulgę po upale dnia, w

samotności. A butelka whisky była luksusem, na który nie mogli się zdobyć.

Fabryka mebli, w której od kilku miesięcy pracował Gordon, została zamknięta na okres świąt i Nowego Roku – i był to urlop bezpłatny. W spiżarce półki były prawie puste. Mary ze zmartwienia nie mogła spać po nocach. Próbowała bardzo delikatnie wspomnieć matce o ich finansowych kłopotach, ale jej sugestia pożyczki została pominięta milczeniem. Z Charliem rozmawiała otwarcie i otwarcie powiedział jej:

– Nie mam pieniędzy, ale możecie iść do Biura Opieki Społecznej, oni wam pomogą.

Po raz pierwszy w życiu wybrali się do Urzędu prosić o wsparcie. Straszne było to przeżycie dla nich obojga. Musieli wyjaśniać sytuację. Musieli tłumaczyć, że ich sponsorzy (matka i Charlie) są też w trudnej sytuacji, choć sami nie byli o tym przekonani. Urzędnik na szczęście był pełen zrozumienia i otrzymali pieniądze, dosyć, żeby zapłacić za mieszkanie i kupić żywność.

W tę australijską noc pełną wrzeszczących cykad, kiedy wybiła północ, z pierwszą minutą roku 1968, Gordon otworzył butelkę whisky, wypili za Szkocję i oboje myśleli to samo: *że też diabli nas podkusili, żeby stamtąd wyjeżdżać!*

Nie mieli pieniędzy na bilety powrotne.

Australia, fot. John White.

Rozdział 4 ukaże się w poniedziałek 10 kwietnia 2017 r.